Rocznik XIII. Kraków 1-go czerwca 1905. Nr. 6.

NOWY DZWONEK

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 1-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek" kosztuje w prenumeracie:
w **Austryi** na **rok: 3** korony (1 złr. **50** ct.), na **pół roku:**
1 koronę **50** halerzy (75 ct.).
Razem zaś z ***Pielgrzymem*** kosztuje *Nowy Dzwonek* na **rok**: 5 koron (2 złr. 50 ct.), na **pół roku**: 2 korony 50 halerzy (1 złr. 25 ct.). Do **Ameryki** na **rok**: 2 dolary. — Do **Niemiec** na **rok**: 5 marek.

Adres do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „Nowego Dzwonka" w Krakowie, ul. Zielona L. 20.

Książeczka — za darmo!!

Wszyscy Prenumeratorzy *Nowego Dzwonka* i *Pielgrzyma,* którzy zapłacili za te pisma prenumeratę całoroczną, a więc już i na drugie półrocze, otrzymają w tych dniach za **darmo** książeczkę: **„Nasza Orędowniczka".**

Ci zaś Szan. Czytelnicy, którzy zapłacili dotychczas tylko za pierwsze półrocze — **otrzymają również tę książeczkę** *(Nasza Orędowniczka)* za **darmo** — jeżeli **wnet** nadeślą **nową** prenumeratę na drugie półrocze.

Odnosi się to także i do wszystkich **nowych Czytelników,** którzy sobie teraz zaprenumerują *Nowy Dzwonek* lub *Pielgrzyma* od drugiego półrocza, a więc **i oni otrzymają** tę książeczkę za **darmo**!

Rozsyłka książeczki rozpocznie się już w najbliższych dniach, koło 5-go lub 6-go czerwca.

Najlepsza cześć Serca Jezusa.

Wyrobnik pewien, na imię Augustyn, w ciężkiej pozostawał biedzie. Za kilka dni miał wierzycielowi swemu wielki dług zapłacić. W niedzielę przed upływem terminu poszedł po południu do miasta, pół mili od wioski odległego.

Chciał nieużytego wierzyciela prosić o przedłużenie terminu, albo w razie odmowy udać się do zacnego pana, który mu już nieraz pomagał i prosić go o pożyczkę na zapłacenie długu, ale żadnego w domu nie zastał.

Zgryziony Augustyn chciał już do domu powrócić. Droga mu wypadła około kościoła, z którego głos organu dolatywał. Augustyn wstąpił do domu Bożego i był na nieszporach, które się dopiero zaczęły. Po nieszporach wstąpił kapłan na ambonę i mówił z zapałem o Boskiem Sercu Jezusa, jak ono wszystkich ludzi, nawet swych wrogów i prześladowców do siebie tuli i jak Ono jest dla wszystkich chrześcijan wzorem miłości nieprzyjaciół.

Z wielką uwagą słuchał Augustyn kazania, bo mu i do rozumu i do serca przemawiało. Jego wierzyciel niecierpliwy zdawał mu się także być nieprzyjacielem. Trzeba było więc wszelką nienawiść ku niemu z serca złożyć, trzeba się było zań modlić i uprzejmie go przy spotkaniu pozdrowić. Coraz jaśniej to poznawał, gdy powracając do domu nad słowami kapłana rozmyślał.

Będąc już blisko wioski, spojrzał na krucyfiks, który w cieniu drzew stał przy drodze. Przed krzyżem było kilka kamiennych klęczników, dla wygody przechodniów. Augustyn ukląkł i zmówił z swej książki do modlenia modlitwę za nieprzyjaciół.

Niedługo się modlił, gdy dwoje z jego dzieci wybiegło naprzeciw niemu i wesoło go pozdrowiły. Augustyn wstał i spieszył z dziećmi ku domowi. Przyszedłszy do domu, opowiedział żonie, że daremnie wychodził z domu, że był na kazaniu i powziął postanowienie przebaczyć swemu wierzycielowi. Przy tej sposobności chciał wyjąć z kieszeni książeczkę do modlenia. Ale jej nie miał przy sobie. Natychmiast posłał najstarszego syna do figury, bo mu się zdawało, że tam książkę zapomniał. Ale syn wrócił, a książki nie przyniósł. Nazajutrz przyniósł listonosz paczkę. Augustyn rozwinął ją i ujrzał swą książkę do modlenia. W książce był kwit przez wierzyciela własnoręcznie napisany, jako od Augustyna cały dług dokładnie odebrał.

Ze łzami w oczach spojrzał wyrobnik i jego żona w niebo. Augustyn udał się spiesznie do miasta, aby swemu wierzycielowi za tak niespodziewane dobrodziejstwo

podziękować. Juliusz, tak się zwał wierzyciel, rzekł łagodnie:

Wczoraj słyszałem prześliczne kazanie o Najsłodszem Sercu Jezusa, jako wzorze miłości nieprzyjaciół. Kapłan mówił, że grzechem jest swemu nieprzyjacielowi nie przebaczyć, a także grzechem jest, przez brak miłości i gniew nowych sobie robić nieprzyjaciół. Wtem łaska Boża, jakoby młotem w me serce zatwardziałe uderzać zaczęła i żądała wejścia.

Poczciwy Augustynie! Bez wszelkiej miłości nalegałem na ciebie, abyś mi cały dług oddał; pomimo, iż wiedziałam o waszem położeniu, nie chciałem ci przedłużyć ani terminu spłaty, ani nie chciałem byś mi ratami wypłacał. Za tę moją nieczułość chciałem wobec Boga przez odpuszczenie ci całego długu zadośćuczynić. W tym zamiarze udałem się wczoraj po nieszporach do ciebie na wieś. Gdym przyszedł do figury Pana Jezusa ukrzyżowanego, ukląkłem i prosiłem Pana Boga gorąco, aby mi pomógł wykonać mój zamiar. Na ławeczce przedemną leżała książka do nabożeństwa; po podpisie poznałem, że to była twoja. Natychmiast wziąwszy ją, powróciłem do miasta, włożyłem w książkę pokwitowanie na odebrane długi i odesłałem ją pocztą do ciebie.

Obaj ci ludzie najlepiej zrozumieli, na czem zależy doskonała cześć Serca Jezusowego i jeden przebaczył, drugi cały dług darował z miłości ku Sercu Jezusowemu.

PRAWDA ZWYCIĘŻA.

Powiastka na tle stosunków wschodnio-galicyjskich.

(Przez W. POTRZEBNICKIEGO).

Prześliczny był dzień w przededniu wiosny. Słońce już przeszło spory kawał nieba, siejąc po drodze ożywcze promienie na lasy, pola i na łąki, budząc je zarazem ze snu zimowego do nowego życia — życia wiosny.

Na łagodnych pagórkach dokoła wioski od strony północnej i wschodniej leżały jeszcze tu i ówdzie w zagłębieniach wielkie płaty brudnego śniegu, które jednak pod działaniem ciepła słonecznego z każdą chwilą malały

i nikły, zamieniając się na liczne żyłki strumyków. Żyłki te, wijąc się po roli i łąkach i połyskując w słońcu, przedstawiały widok jakby cieniutkich, złotych wstęg. Od zachodu zaś i południa, gdzie teren był równy i nizki, całe obszary ziemi stały pod wodą. Czystopady (tak się nazywała wioska) przy tym obszarze wód wiosennych wyglądały, jak maleńka osada na brzegu wielkiego jeziora. A tam dalej, na przeciwnym brzegu tego niby jeziora, widniał szary, bo bezlistny jeszcze — bór.

Była niedziela. — Przed chwilą przebrzmiały dzwony drewnianego tutejszego kościółka, zwołujące wiernych na nabożeństwo. Głos ich jeszcze falował w powietrzu, lecz z każdą chwilą stawał się coraz słabszy, coraz cichszy, aż wkońcu znikł gdzieś w czystem przestworzu, łącząc się z szczebiotem wczesnego skowronka, który wzbił się wysoko i nucił samotnie ranną pieśń Panu nad Pany.

Gdy dzwony zamilkły, wioska, dotychczas spokojna i cicha, zaczęła się ożywiać. Wesołe i strojne gromadki przeważnie dziewcząt, kobiet i dzieci, ciągnęły do kościółka, aby tam w szczerej i prostej modlitwie wynurzyć przed Najwyższym Panem i Stwórcą swe żale, nabrać otuchy i zaczerpnąć nowych sił na tydzień następny.

A gdzież mężczyźni — gospodarze i parobcy? Szli i oni, lecz w mniejszej liczbie lub pojedynczo. Jedni szli wprost do kościoła, drudzy zaś zatrzymywali się... obok karczmy, przed którą zajechał wózkiem w tej chwili po miejsku ubrany mężczyzna, znany dobrze mieszkańcom wioski, pan Filipski.

Przy drodze wiodącej do kościoła, w samym prawie środku Czystopadów, stał duży dom murowany, pokryty czarną od starości strzechą, na której zieleniały już mchy, a gdzieniegdzie sterczały suche badylki ziół przeszłorocznych. Ściany obszarpane i zabłocone, a okna w kilku miejscach dla braku szyb pozatykane były brudnemi szmatami. Dwa szyldy nad drzwiami z napisami: „C. k. drobna sprzedaż tytoniu“ i „Wyszynk najrozmaitszych trunków i piwa“ pouczały obcego, że jest to karczma.

Dla mieszkańców wioski ta buda murowana ze swym brodatym właścicielem była czemś więcej niż karczmą. Od pewnego czasu nie było żadnej sprawy, nie było żadnej narady w Czystopadach, któraby nie załatwiała się w kar-

czmie przy kieliszku, przy asyście siwego Wolfa i jego licznego potomstwa. Nie było niedzieli i święta, w którenby młodzież tutejsza nie zgromadzała się tłumnie po nieszporach na muzykę i tańce.

Zdawałoby się, że dziś o tej porze, kiedy za chwilę ma się rozpocząć w kościele nabożeństwo, to kasyno wiejskie będzie zamknięte, a przynajmniej nikt do niego nie wstąpi. Gdzieżtam! Dawniej tak bywało. Ale od czasu, jak pan Filipski każdej prawie niedzieli zaczął się zjawiać w Czystopadach, obowiązek słuchania Mszy swiętej i kazania dla wielu gospodarzy przestał być obwiązkiem.

I dzisiaj pan Filipski zaglądnął do Czystopadów. Właśnie zatrzymał się na dziedzińcu przed „propinacyą", gdzie zebrało się już wielu gospodarzy i parobczaków, aby powitać swego „pana i dobrodzieja".

Na wiadomość o przybyciu Filipskiego cały Izrael wysypał się do okien propinacyi ze swych brudnych kątów. W środku pokazała się chuda i obrośnięta twarz siwego Wolfa. Obok niego wokoło małe i większe Berki, Srule, Markusy, Icki, wiercące się na wszystkie strony i potrząsające długimi kosmykami włosów, które na kształt korkociągów spadały im od uszu do samych prawie ramion z obydwu stron głów prawie golonych. W drugiem oknie ukazała się w brudnej koszulińce maleńka, kędzierzawa Pesia, obok niej starsza nieco Chaja i najstarsza w rodzeństwie rudowłosa Blima. Ten rój żydowiąt, patrząc na przybyłego gościa, czekał tylko, kiedy Filipski zeskoczy z wózka i pociągnie za sobą gospodarzy do szynkowni.

Filipski siedział jeszcze na wózku i przecierał chusteczką okulary. Później zaczął coś żywo opowiadać, a widać to było z jego ruchów i z natężonej uwagi słuchaczy. Otaczająca go gromadka wieśniaków zwiększała się z każdą chwilą, gdyż przyłączyli się do niej nie tylko „swoi", ale i inni, nadstawiając ucha, aby jakąś nowinkę usłyszeć z ust Filipskiego, lub gapić się bezmyślnie na wózek i zmęczone konie. Niektórzy z gospodarzy przechodzili mimo i, nie zatrzymując się wcale koło owej gromadki, szli wprost do kościoła.

Jeden ze śmielszych, przechodząc obok, odezwał się:

— Cóż to za rada? Do kościoła iść nie myślicie? Fe! Wstydźcie się! A pan nie miał kiedy przyjeżdżać, ta dzisiaj i to teraz, kiedy w kościele nabożeństwo?

— A cóż was to obchodzi? — odrzekł Filipski — będziecie może za nas odpowiadać przed Bogiem? Idźcie, dokąd idziecie i nie odzywajcie się więcej. U mnie niema niedzieli, dla mnie każdy dzień jednaki.

Kilku głupio się zaśmiało, a jeden z parobczaków zawołał za odchodzącym:

— Michale! A pomódlcie się tam za nas!

— Żebyście się tylko nie przemodlili! — dorzucił półgłosem drugi.

Filipski tymczasem skoczył zgrabnie z wózka i zwracają się ze słodkim śmiechem do najbliżej siebie stojących, wskazał wielkim palcem na drzwi szynkowni i rzekł przyciszonym nieco głosem, poprawiając okulary na nosie:

— Moi kochani, możebyśmy tam poszli...? Tutaj na wolnem powietrzu... pod gołem niebem... na sucho... niewygodnie rozprawiać. Tam swobodniej pomówimy... nie prawdaż? Tu ludzie na nas patrzą i gorszą się. Wolf podobno ma świeże piwo... Chodźmy! Przecież może który z was każe co dać? Pomówimy o ważnych sprawach... Lecz nie myślcie, żeby ja nic nie miał... Patrzcie!

To mówiąc, wyciągnął z kieszeni długi, delikatnej roboty woreczek, napełniony pieniądzmi i pokazał gawiedzi. Następnie obrócił się zgrabnie na jednej nodze, zataczając równocześnie półkole drugą nogą i ruszył do karczmy.

Towarzysze przynęceni bardziej widokiem srebrnych koron, niż zapowiedzią „pogadanki o ważnych sprawach“, zaczęli tłoczyć się za nim i po chwili znikli za drzwiami żydowskiego domu. O! bo hojność p. Filipskiego znali wszyscy we wsi od dwóch lat. Wiedzą, że to szczery pan; młody, więc lubi się zabawić, potrafi fundować, a przytem powie jakąś nowinkę z miasta i ze świata, pocieszy... dobrze poradzi...

Gdy ruszono gromadnie do karczmy, natychmiast na rozkaz Wolfa pozeskakiwały żydowięta z okien i klaszcząc z radości w dłonie, pochowały się po kątach. Na środku izby pozostała Blima i Wolf gotowi służyć gościom.

W kościele tymczasem rozpoczęło się nabożeństwo. Ksiądz proboszcz, młody jeszcze człowiek, który przed miesiącem objął w tej parafii obowiązki duszpasterza, wyszedł właśnie ze Mszą świętą. Garstka pobożnych, przeważnie niewiast, starców i dzieci, padła na kolana, a westchnienia ich i rzewne pieśni biegły wraz z tonami organów do stóp Najwyższego Tronu, przed którym ścieliły się jak wonne i miłe kadzidła.

Chrystus pod postacią chleba zajaśniał w monstrancyi, a lud pochylony z wiarą i miłością śpiewał:

Święty, Święty, Święty!
Święty, zawsze Święty!
Jezu! Jesteś niepojęcie
W Przenajświętszym Sakramencie!

I błogosławił Zbawiciel tej garstce pobożnych, wlewają w ich pełne prostoty serca pociechę i nadzieję lepszej przyszłości.

W „Prynadzie“ (tak się nazywała karczma w Czystopadach) również zawrzało. Przybyli goście pod wodzą Filipskiego, zaczęli witać brodatego gospodarza, wypytywać go o zdrowie, powodzenie, czy ma dobrą wódkę, świeże piwo, zakąski i t. d. Uprzejmy Wolf z każdym kilka słów zamienił, gładząc się po długiej siwej brodzie. Prosił siadać i czekał na rozkazy szanownych gości.

— Zdaje mi się — zaczął pierwszy Filipski zwrócony do towarzyszy, którzy go kołem otoczyli — że należałoby nam najpierw łyknąć po „małym“.

— Ta... jak pan chcą — odezwało się równocześnie kilka głosów nieśmiele — jak pan rozkażą, tak my się zgodzimy... nam wszystko jedno... czy najpierw wódka, a potem piwo, czy piwo, a później wódka. Wy panowie jakoś to inaczej...

— Dmytreju! Alboż to panowie mają inne żołądki?

— A zatem Wolf! — odezwał się znowu Filipski — przynieś nam „garniec“ dobrej, mocnej wódki!

— W tej chwili służę panu.

Po tych słowach chłopstwo zaczęło się sadowić przy stołach, jedni skupiając się tuż koło Filipskiego, inni tworząc osobne kółka pod ścianami i piecem. „Siwucha“ zaczęła krążyć obficie. Filipski widocznie był głodny, bo po wychyleniu dwóch „małych“, zabrał się skwapliwie do

śledzia, którego dla braku innej przekąski kazał sobie podać i chciwie go zajadał ze świeżą bułką. Chłopi, którym oczy zaiskrzyły się na widok siwuchy, na chwilę uciszyli się. Każdy myślał o tem, aby go kolej nie minęła, a ciszę, która nastała, przerywały tylko okrzyki przed każdem wychyleniem kieliszka:

— Zdorow *) Dmytreju!

— Zdorow Hryciu!

— Zdorow Wasylu!

Wtem Jędrzej, jeden z poważniejszych i rozmniejszych gospodarzy, nalawszy sobie już trzecią z rzędu „kwaterkę“, powstał z ławy i, zwracając się do Filipskiego, w te odezwał się słowa:

— No, panie łaskawy, daj Boże, aby to wszystko. co tam w mieście robicie ze swoimi kolegami dla nas biednych chłopów i co obiecujecie, jak najprędzej już się stało. Daj Boże, żebyśmy jak najprędzej zostali swoimi niezależnymi panami, żeby ta niewola już raz ustała. Bo dalej wytrzymać nie będzie można. Podatki płać, przy wojsku służ, do lasu ci nie wolno ani na krok, pastwiska dla chudoby niema — i taka dola biednego chłopa! Pracuj chamie, jak czarny wół — dla kogo? dla panów! A panowie nic nie robią, tylko dobrze jedzą, piją, palą cygara i pieniądze składają. Oj! przyjdzie czas na was. że temi pieniądzmi podzielicie się z nami biedakami! Przyjdzie czas, że wy koło pługa będziecie chodzić, a my będziemy panować!

Burza dzikich okrzyków nie pozwoliła Jędrzejowi dalej mówić. Zbytecznem byłoby dodawać, że chłopi pod wpływem wódki zaczęli nabierać chwilowej energii i odwagi. Wołali więc:

— Precz z panami!

— Będziemy bić, będziemy się majątkami dzielić!

— Oj podzielą się, podzielą! Dalibóg, że podzielą! Będziemy panować, będziemy się bawić!

Jędrzej już nie kończył zaczętej mowy. Był bardzo zadowolony, że potrafił wywołać taki zapał u gospodarzy. Podniósł więc kwaterkę do góry, dając tem do zro-

---

*) Wyraz ruski, znaczy: na zdrowie.

zumienia, że pije zdrowie wszystkich obecnych i wychylił trzecią z rzędu do dna.

Na ten znak, jakby na dane hasło, polała się znowu wódka strumieniem, a flaszki z czarkami poczęły już może po raz piąty lub szósty przechodzić z rąk do rąk i z ust do ust.

A pan Filipski? Właśnie kończył śledzia dogryzać, który widocznie smakował mu bardzo, bo nawet talerz skrzętnie bułką wymiótł, pozostawiając tylko ości.

— A powiedzcieno jeszcze, kumie Jędrzeju, o naszym proboszczu — odezwał się głos z tłumu.

— Aaa... prawda! — zaczął znowu Jędrzej — brr... jaka to wódka niedobra... niech ją licho porwie! — I rzekłszy to, splunął potężnie na ziemię.

— Otóż tak proszę pana — ciągnął dalej — miesiąc temu dostaliśmy nowego proboszcza. Dobry z niego człowiek, niema co i mówić. Już dwóch biedaków za darmo pochował; nie zdziera za byle co, więcej płaci robotnikom, niż we dworze... co prawda, to prawda.

— Ha! Bo ma 120 morgów pola, a 60 morgów lasu — przerwał mu głos ochrypły Dmytreja.

— Otóż proszę pana — prawił dalej Jędrzej — był już kilka razy w naszej szkole i trochę z gospodarzami gawędził to o tem, to o owem. Jednem słowem on jakoś pokazuje na lepszego, niż był nieboszczyk. Z każdym porozmawia... zapyta się... no i tak. Ale... tamtej niedzieli, gdyśmy się znowu zgromadzili w szkole, zaczął coś prawić, że zdałoby się budynki na plebanii ponaprawiać, mówił, że każdy z nas będzie musiał coś dać na to... niby jak to mówią złożyć się... Chyba on nie wie, jakie teraz ciężkie czasy i jak nam chłopom nędza dokucza? Nic na to nie odpowiedzieliśmy, bo chcieliśmy najpierw poradzić się pana.

Filipski był już gotów ze śledziem. Obtarłszy i poprawiwszy wąsa, odpowiedział Jędrzejowi:

— O tem pomówimy później. Napijmy się najpierw piwa... już tak długo stoi na stole i czeka na nas... szkoda... zwietrzeje.

Po tych słowach w mgnienia oka wypróżniły się szklanki, a każdy bez ceremonii obtarł gębę kułakiem i czekał na następną kolej.

Jędrzej tymczasem, chcąc koniecznie wygadać wszystko, co miał na sercu, tak dalej mówił:

— Ja proszę pana nie pamiętam — a już sześćdziesiąty krzyżyk dźwigam na plecach, żeby za tamtego proboszcza tak było. Prawda, że stodoły i stajnie walą się; tak było i za nieboszczyka, ale nieboszczyk łatał, podpierał i dobrze było — a wszystko robił za swoje własne pieniądze. Temu zaś młodzikowi zachciewa się panować. Chce wszystko stare burzyć, a nowe stawiać. Szczęście, że samo probostwo murowane; bo gdyby nie to, to pewnie chciałby, żeby mu parafianie i probostwo wybudowali. I taka nasza bieda proszę pana. Wciąż ciężary walą się na nas, wciąż dawaj i dawaj i pracuj. A niech tam stawia sobie, kiedy chce, my nic nie damy, ani grejcara! Niedoczekanie jego! Zdrowie pana!

I po raz drugi polały się strugi piwa i zmięszały się z wódką. To połączenie się dwóch trunków w żołądkach wywołało zamięszanie i w głowach.

— Brawo kumie, brawo!

— Nie damy nic! Każdy ksiądz ma dosyć pieniędzy! Nic nie robi, a pieniądze zbija! — zaczęły wrzeszczeć podchmielone już głowy.

— Nam co z tego przyjdzie? Czy będziemy może na probostwie trzymać naszą chudobę? — wołano z drugiego kąta.

— My obejdziemy się bez księdza! Wolf! przynieś tu jeszcze piwa! — wołało czterech zuchów z pod ściany.

— Jabym wszystkich panów i księży na jednej gałęzi powieszał, gdyby mi kto dobrze zapłacił! — wyrwał się Wasylko, którego w Czystopadach półgłówkiem nazywano — i począł śmiać się całą gębą.

Powstał gwar, krzyk, hałas. Każdy prawił na własną rękę; każdy gadał i drugiego starał się przegadać, prawiąc to o księdzu, to o niesprawiedliwych paragrafach.

Tam krzyczano:

— Nie damy! Pasibrzuchy mają dosyć pieniędzy!

W innej stronie!

— Wolf! Przynieś nam jeszcze wódki!

Inni znowu, trzymając w górze „halby“ z piwem, wołali:

— Trzymajmy się razem chłopcy! Zdrowie nasze i p. Filipskiego!

— Niech żyje równość! Precz z panami i księżmi!

A mocno podpity Iwaś, urlopnik w niebieskich spodniach i w ułańskiej czapce, chcąc pokazać, że nauczył się przy wojsku po niemiecku, wrzasnął do ucha przechodzącemu obok Wolfowi:

— Herr Wolf! Ich melde gehorsam... bring mir... ein glas... futter-mamałyga, basamateremtete... *).

Kółko zaś, złożone z młodych gospodarzy i parobków, którzy usadowili się przy osobnym stole pod piecem, obojętne i głuche na okrzyki swoich kolegów, całą swoją uwagę zwróciło na rudowłosą Blimcię, którą wciągnęli do swego kółka. Wielkooka córa Wolfowa chętnie bawiła swych gości, którzy w zamian za to pokazywali jej swe wielkie żółte zęby, a w końcu zaczęli śpiewać nieskromne pieśni, tupając w takt butami, lub bijąc o stół pięściami.

Filipski skakał w duszy z radości, patrząc, jak pięknie zeszło ziarno, rzucone przez niego przed dwoma laty. Nadzwyczaj podobało mu się przemówienie Jędrzeja, które bądź co bądź było wyrazem przekonania całej prawie gminy. Grunt już zdobyłem, pomyślał sobie. W przeciągu dwóch lat zjednałem sobie zwolenników dla naszej partyi i jestem z tego nad wyraz zadowolony. Mogę ich teraz użyć, jak mi się podoba. Są już moimi

Filipski, jako agitator socyalistów, pouczywszy przed dwoma laty poczciwych wieśniaków o celach partyi socyalistycznej, starał się teraz tylko o to, aby rzucony płomyk nienawiści ku panom, księżom i wogóle pracodawcom poddmuchiwać i podtrzymywać. Nie w innym, tylko w tym właśnie celu przybył i dzisiaj do swoich „towarzyszy“. Przybył jątrzyć i zaostrzać coraz bardziej niezgodę między pracodawcą a robotnikiem, między panem a chłopem. A ponieważ wiedział, że najpewniejszym środkiem do tego celu jest wódka, tak lubiana przez wielu, więc też ilekroć tylko przyjechał do Czystopadów lub innej wsi, nie żałował wcale grosza, którego nie wiedzieć skąd nabrał i poił chłopstwo do niemożliwych granic.

---

*) Znaczy to: Panie Wolf, melduję posłusznie, przynieś mi szklankę, obroku — mamałygi...

Rozpity tłum wciąż jeszcze wrzał i kipiał. Napróżno Filipski wzywał, aby się nieco uciszyli. Chciał bowiem przemówić i dać wskazówki na przyszłość. Wrzawa, śpiewy i okrzyki rosły z każdą chwilą.

Jedna tylko trzeźwa postać milczała — postać brodatego i poważnego Wolfa. Żydzisko uwijał się zgrabnie pomiędzy tłumem, a rzucając żywym wzrokiem na wszystkie strony, roznosił spokojnie napitek pomiędzy gości i na rozkazy ich potrząsał tylko długą, siwą brodą — na znak zgody i zadowolenia.

Filipski zaczął mówić. Lecz słowa jego ginęły w tem morzu ludzkich głosów i zwiększyły tylko wrzawę.

Pojedyncze jednak wyrazy i zdania, które wypowiadał silniejszym głosem, można było uchwycić. I tak n. p.:

— ... Cieszę się, że praca moja nie idzie na marne... trzymajcie się tylko razem i zwabiajcie innych do siebie... przyjdzie czas, że wszystkimi majątkami pańskimi podzielimy się... będzie wtedy złoty czas. Nie będzie pana, nie będzie między nami żebraka... nie będzie podatków, nie będzie aresztu... precz z panami! Hańba im! Precz z księżmi, którzy nas biednych tylko bałamucą!...

Dalszych słów nie było słychać, bo powstał na nowo hałas nie do opisania.

. . . .

Słońce już nieco zeszło z południa. W kościele nabożeństwo się skończyło, garstka pobożnych wróciła do domów, a w „Prynadzie“ jeszcze huczało.

Lecz i stąd zaczęto się rozchodzić. Ten i ów, wyszedłszy z tej jaskini, popatrzył na słońce i niebo dla przekonania się, czy już daleko z południa, poprawił na głowie czapkę i ruszył do domu. Widać było jak najwyraźniej, że chód jego był wymuszony. Pomimo wszystkie starania, ażeby zachować równowagę i naturalność, nogi jakoby na przekór od czasu do czasu zderzały się ze sobą, co pociągało za sobą kilkakrotne kiwnięcie głową i niedbały ruch całego ciała. Lecz na to się nie zważało. Zuch, pewny siebie, zaśmiał się tylko nieznacznie przy każdorazowym splocie nóg, ruszył od niechcenia ręką i szedł dalej.

Nie wszyscy jednak rozeszli się. Wszak za kilka godzin — po nieszporach — muzyka i tańce!...

Nazajutrz rano opowiadano sobie głośno we wsi, jaka to pijatyka była wczoraj w karczmie, jak ów pobił strasznie żonę i dzieci, jak znowu tamtego wyciągano z rowu i wiele, wiele innych prawdziwych powiastek.

* * *

Po owym smutnym dniu minęły dwa lata.

Pogoda była tak piękna, jak ongiś przed dwoma laty owej pamiętnej niedzieli... Różnica ta tylko, że gdy wówczas przyroda budziła się do życia, dziś była w pełni życia. Był bowiem dzień czerwcowy.

Po jednej i po drugiej stronie gościńca, prowadzącego z sąsiedniego miasteczka do Czystopadów, rozlało się jedno wielkie morze zieleni, którego fale, lekko wiatrem poruszane, płynęły hen, daleko, poza ledwie dostrzegalną linię widnokręgu. Była to owa łąka, zalana wówczas wiosennemi wodami, a dziś i każdego lata przystrojona w szaty bujnych traw i kwiatów polnych.

Na pagórkach dokoła Czystopadów od północy i wschodu falowały rozkosznie kłosy dojrzewającego zboża, kąpiąc się w promieniach czerwcowego słońca.

Filipski, jadąc na wózku wsród tych zbóż, łąk i kwiatów, zbliżał się do Czystopadów. Jechał zamyślony. Nie zwracał uwagi ani na piękność otaczającej go zewsząd przyrody, ani na szczebiotanie ptasząt, które zdawały się towarzyszyć mu przez całą drogę. Był gniewny. Z drobnych rysów jego twarzy przebijał się nadto i niepokój. Wzrok miał utkwiony w jeden punkt przed sobą, a ręką gładził bezwiednie wąsy i krótko strzyżoną brodę, lub poprawiał okulary na nosie. Snadź nie dawała mu spokoju myśl, że skutki jego pracy, tak pomyślnie w Czystopadach rozpoczętej, zaczęły się... chwiać i niknąć.

Od czasu bowiem, jak przybył nowy proboszcz do Czystopadów, wszystkie jego zabiegi i starania w celu podtrzymania niezadowolenia wśród mieszkańców wioski, z każdym niemal dniem słabły. Czuł, że grunt usuwa mu się z pod nóg.

Szczere i sumienne zajęcie się ludem księdza proboszcza krzyżowało wszystkie jego plany. Przed rokiem

wpłynął ksiądz proboszcz na gospodarzy i dziedzica wioski, że założyli wspólnemi siłami Kółko rolnicze. Założył następnie czytelnię i zaopatrzył ją w pożyteczne dziełka ludowe. Tutaj każdej niedzieli i święta, zamiast iść na muzykę i tańce do karczmy, schodziła się większość włościan po nieszporach, a od czasu do czasu i sam ksiądz proboszcz do niej zaglądał, pouczając i oświecając lud sobie powierzony. Zaczęto też myśleć o założeniu kasy Raiffeisena. Dokazał wreszcie i tego, że Wolf z rodziną musiał wynieść się ze wsi, a w miejsce karczmy wybudowano piękną chrześcijańską gospodę, której zarząd powierzono jednemu z gospodarzy.

Filipski dość często zjawiał się w Czystopadach podczas tej pracy księdza proboszcza nad oświatą — nawet częściej, niż dawniej. Cóż! kiedy coraz mniej było takich, którzyby go na seryo słuchali i w jego obiecanki wierzyli. Każdy chętniej uczęszczał do czytelni i słuchał księdza proboszcza, niż Filipskiego. Nawet Jędrzej, najgorliwszy jego zwolennik, porzucił go, skoro poznał, że ksiądz proboszcz prawdę mówi i szczerze zajmuje się dolą swych parafian.

Takimi myślami zajęty zbliżał się Filipski do Czystopadów.

— Po co ja właściwie tu jadę? — zapytał samego siebie półgłosem.

— Czy pan do mnie co mówią? — zagadnął go woźnica, sądząc, że pytanie Filipskiego do niego było skierowane.

— Nie.

— Proszę pana, widzi pan? ot tam... tam... o... o... jak zając nam drogę przebiega... teraz usiadła bestyjka... o... znowu biegnie... Oj będzie źle z nami proszę pana... jakieś nieszczęście...

— Siedziałbyś cicho gamoniu! Patrz, zbliżamy się już do wsi. Pamiętaj, żebyś porządnie jechał przez wieś! Nie żałuj bata! Niech widzą, że pan jedzie!

— Dobrze proszę pana! Ale... ale ten zając...

Gdy zbliżyli się do kościoła, obok którego musieli przejeżdżać, gdyż droga tędy wiodła, niespodziewany widok przedstawił się ich oczom. Na dziedzińcu, otaczającym dokoła kościółek, zwanym cmentarzem, pełno było ludzi

obojej płci i wieku. Jedni stali na cmentarzu, drudzy wchodzili do świątyni, inni z niej wychodzili. Przy bramie zaś wchodowej siedziało rzędem kilku dziadów i babek — ślepych i chromych — którzy modląc się głośno, wyciągali swe opalone ręce, prosząc przechodniów o jałmużnę.

Filipskiego uderzył ten widok tem więcej, że był to dzień powszedni. Wysiadł z wózka i zbliżył się do cmentarza.

— Słuchajno chłopcze, czy dzisiaj jakie święto lub „odpust?“ — zapytał chłopaka, który biegł z kilkoma innymi do Filipskiego, aby „pana“ pocałować w rękę.

— Aaa... proszę pana... to misya!...

Filipski, nie odpowiadając nic, podszedł bliżej i szukał oczyma w tłumie „swoich“. W jakim to celu czynił, sam nie wiedział.

Na cmentarzu, na wzniesionej pod rozłożystą lipą kazalnicy, stał z krzyżem w ręku misyonarz i przemawiał z pobożnym zapałem do zebranego ludu. Wysoki, szczupły, nieco pochylony, o twarzy chudej, ale łagodnej, z rozwianym siwym włosem na głowie i podniesionemi rękoma, wyglądał jak Święty, który przybył tu gdzieś z dalekich stron, aby karcić, nauczać i przebaczać.

Lud zbity naokoło ambony, jakby w jedną masę nieruchomą, utkwiwszy wzrok w natchnionego Posłannika Bożego, chwytał chciwie wszystkie jego słowa, które płynęły z tego nikłego ciała, jak bystry strumień najczystszej wody — głośno, dobitnie i dla każdego zrozumiale.

Od czasu do czasu pochylały się głowy słuchaczów, niekiedy korzyli się i padali na kolana i znów wstawali i znowu słuchali. Tu i ówdzie słychać było tłumione szlochanie, które po chwili jak zaraza udzielało się innym, zwłaszcza kobietom i coraz bardziej wzrastało. Mężczyźni mniej byli wzruszeni, ale widać było, że i z pomiędzy nich ten i tamten dławił łzy, które gwałtem do ócz mu się cisnęły.

Filpski wiedziony ciekawością, o czem misyonarz z takim zapałem prawi, podszedł jeszcze bliżej i słuchał...

— ... Ludu mój kochany! — wołał starzec z ambony — przedstawiłem ci, jak wielką jest zbrodnią grzech w oczach Tego, który cię stworzył, który na każdym kroku otacza

cię swoją Opieką. Przedstawiłem ci dalej, jak wielkiem jest zuchwalstwem spr eciwiać się Jego Woli Najświętszej.

Ludu drogi! Cierpisz nędzę i niedostatek; prawda... chcesz, żeby ci się lepiej powodziło. Przecież to zależy od twojej woli. Wolno jest i trzeba dążyć do szczęścia doczesnego, ale środkami godziwymi, a szczególnie własną, uczciwą pracą i zasługą. Bo w przeciwnym razie, chociaż posiędziesz bogactwa, zaszczyty i wolność, którą tak głośno niektórzy zachwalają, dalekim będziesz od tego drugiego szczęścia, do którego obowiązany jesteś dążyć, to jest nieba. Cóż pomoże człowiekowi — mówi Chrystus Pan — choćby cały świat zyskał, a na duszy swej szkodę poniósł?

Czyście się kiedy zastanawiali — moi najmilsi — nad tem, czy zasługujecie na to, aby się wam lepiej tu na ziemi powodziło? Jakżeż Bóg dobry ma nam błogosławić, kiedy tak ciężko Go obrażamy? Nastały teraz czasy pogańskie. Jedni powiadają, że Boga niema, drudzy nie chcą znowu słuchać Jego przykazań. Powiedziałbym nawet, że teraz są gorsze czasy, niż pogańskie, bo poganie wcale Boga nie znali, a my przecież nazywamy się katolikami. Więc za to mamy się spodziewać nagrody od Boga?

Ludu mój kochany! Błagam i zaklinam cię na tego rozpiętego na krzyżu Chrystusa, którego w ręku trzymam, przestań obrażać twego Boga, porzuć dawne nałogi! Omijaj karczmę, porzuć pijaństwo, ucz się rozumnie gospodarzyć, uczęszczaj do czytelni, chodź co niedzielę i święto do kościoła i tu, przed Najświętszym Sakramentem użalaj się, a zobaczysz, że doznasz ulgi na sercu, zobaczysz, że Pan miłosierny zlituje się nad twoją niedolą i lżejszą uczyni twoją biedę.

Ty szukasz lekarstwa na biedę i niedolę u tych, którzy już w tem życiu obiecują ci raj na ziemi, a Boga ci się wyrzec każą...? Bez Boga tu raju nie znajdziesz, a po śmierci go utracisz.

Ludu kochany! Nie słuchaj tych prowodyrów fałszywych. To, co oni głoszą, jest fałszem. Oni, zamiast wolności, braterstwa i szczęścia, przygotowują tobie i sobie samym największą niewolę i nieszczęście.

Czy można bowiem nazwać człowieka wolnym, kiedy to, co posiada, nie jest jego własnością, lecz własnością wszystkich? Czy można nazwać to wolnością, kiedy jednemu i drugiemu nie wolno będzie w owym przyszłym „raju“ zrobić tak, jak mu się podoba z tem, co posiada?

Niejeden z was, najmilsi bracia, ma kilka lub kilkanaście zagonów roli. Pracuje na niej cały boży rok w pocie czoła od rana do nocy. I po co? Oto, aby mieć z tego jakąś korzyść. A mianowicie w pierwszym rzędzie, aby było z czego żyć, w co się ubrać, a następnie, aby dorobić się jakiegoś majątku i zostawić go dziatkom. Pytam się ciebie gospodarzu, czy zgodziłbyś się na to, gdyby ktoś przyszedł do ciebie i kazał ci to wszystko oddać, coś przez całe życie krwawo zapracował i oszczędził, a zostawił ci tylko tyle, co dla ciebie samego potrzeba do życia...? Do tego zaś dążą owi fałszywi obrońcy ludu.

Ludu mój kochany! — — —

Dalszych słów nie chciał słuchać Filipski i rzeczywiście nie słyszał, bo był już za bramą cmentarną. Tu spotkał się z owym Wasylkiem, który niegdyś chciał wieszać panów i księży na jednej gałęzi. Spieszył zadyszany na naukę.

— No dzisiaj spóźniłem się — mówił sam do siebie — ale przynajmniej będę na nieszporach.

— Spóźniliście się Wasylku? zagadnął go Filipski.

Aaa... jak się pan mają? Pan także na misyi? Oj, ta misya, proszę pana, dużo dobrego zrobiła i zrobi jeszcze w naszych Czystopadach. Niech tam Pan Bóg da zdrowia naszemu proboszczowi, co tych księży sprowadził. Ten stary, siwy ksiądz... proszę pana, jak zacznie mówić, to choć człowiek nie chce, musi zapłakać. Pan nie zostają na nieszporach? Takie ładne nabożeństwo... Aaa... coś sobie przypomniałem... muszę panu to powiedzieć...

— Cóż takiego? Powiedzcie?

Wasylko pochylił się i zaczął Filipskiemu szeptać do ucha, wymawiając powoli i z naciskiem każde słowo:

— Proszę pana, niech się pan już nie pokazują po misyi do nas, do Czystopadów... bo niebezpiecznie. Będzie awantura, a mnie trochę pana szkoda. Mówią na wsi, że jak pan po misyi pokaże się u nas, to kilku parobków

ma zbić pana na kwaśne jabłko... to wszystko dotychczas w tajemnicy... dalibóg... tak słyszałem od jednego...

To rzekłszy, znikł Wasylko w tłumie, nie pożegnawszy nawet „pana“.

Filipski, oburzony tą niespodziewaną wiadomością, obrócił się nagle i chciał coś Wasylkowi odpowiedzieć. Lecz ten był już od niego oddalony o kilka kroków. Stał zwrócony do Filipskiego, a śmiejąc się nieznacznie, kiwał głową, jakby chciał mówić:

— Tak, tak, proszę pana...

Filipski zmierzył go oczyma od stóp do głowy i przez zaciśnięte zęby wycedził ze złością:

— Ty pół-głów-ku!!

Tymczasem misyonarz kończył już kazanie. Lud, który otaczał ambonę, pochylił się, jak chylą się kłosy dojrzałych zbóż na łanie za powiewem silniejszego wiatru — i padł na kolana. Każdą naukę kończył świątobliwy starzec modlitwą i odpowiedniemi postanowieniami. które lud jednogłośnie za nim powtarzał.

— Panie Jezu! — zaczął misyonarz.

— Panie Jezu! — powtórzył klęczący tłum potężnym chórem.

— Przyrzekamy Ci poprawę — modlił się dalej misyonarz.

— Przyrzekamy Ci poprawę — odezwały się jakby echem pobożne tysiączne głosy.

Filipski był już przy wózku.

— Michałku! — krzyknął na woźnicę — nawracaj! Zaraz odjeżdżam.

— Ta... niech proszę pana, konie trochę odsapią się...

— W Krotoszynie odpoczniemy.

— O! Pan czegoś zły... ja mówiłem, że jak zając przebiegnie...

— Milcz durniu! Rób co ci każę i basta.

Po chwili wracał Filipski z Czystopadów, gdzie misya jego już się skończyła.

— Ten proboszcz! Ten proboszcz! To on winien wszystkiemu! To on pomięszał mi szyki — pomyślał Filipski i obejrzał się mimowoli za siebie, podnosząc do góry zaciśniętą rękę.

Obejrzawszy się, spostrzegł na kościółku krzyż, który w tej chwili płonął w zachodzącem słońcu, jak wspaniała pochodnia, unosząc się ponad lipami i całą wioską. Niebawem ozwały się dzwony, zwiastujące rozpoczęcie nieszporów, a głos ich długo, długo towarzyszył Filipskiemu, jako głos tryumfu, który odniosła prawda i sprawa Boża. KONIEC.

Cudowne odnalezienie świętych Hostyj.

W 1772 roku 23 stycznia, kościół parafialny we wsi Laterno, położonej o dwie mile od Neapolu (we Włoszech), stał się widownią strasznego świętokradztwa: niewiadomi złoczyńcy wykradli z ołtarza dwie puszki z poświęconemi Hostyami. Pomimo usilnych poszukiwań, pilnego śledztwa, nie wykryto sprawców zbrodni.

W kilka dni potem, zagrodnik z sąsiedniej wioski, nazwiskiem Paskal Kapozzi, znalazł podstawę jednej puszki, zagrzebaną w resztce nawozu, zostawionego za stodołą. Kierując się tą wskazówką, najstarannie przepatrzono zagony, na których poprzednio już był nawóz rozrzucony w przypuszczeniu, że może tam odnajdą się Komunikanty. Daremne były poszukiwania. Uwierzono w końcu, że złoczyńcy, dla zatarcia śladów kradzieży, sami spożyli Hostye święte i jak to zwykle bywa, wspomnienie tego świętokradzkiego czynu, zaczynało się już powoli w ludzkiej pamięci zacierać.

Atoli inne były zamiary Boże.

Wieczorem 19 lutego, siedmnastoletni chłopiec, Józef Orefice, powracając z Neapolu do Laterno, spostrzegł na polu, należącem do Kapozzich, migoczące światło. Nazajutrz to samo zjawisko uderzyło jego oczy; wystraszony — opowiedział o tem rodzicom, lecz ci go wyśmiali, pomawiając o przywidzenie.

Na drugi dzień bardzo rano, tenże Józef ze swoim ojcem i braciszkiem Janem, mającym zaledwie lat dziesięć, szli do Neapolu. Kiedy przechodzili mimo pola Kapozzich, światło znów się ukazało; Janek pierwszy je spostrzegł

i okrzykami radości swój podziw objawił; Józef także widział, lecz ojciec nic nie mógł dopatrzeć.

Rozgłos tego dziwnego zjawiska doszedł do wiadomości dwóch kapłanów z Neapolu: Hieronima i Jakóba Gnarino, którzy postanowili osobiście przekonać się, coby to było. Jakoż z miejscowym proboszczem i kilku innemi osobami, udali się 24 lutego, o późnej godzinie w nocy na miejsce wskazane. Józef i brat jego Jan z innem także dzieckiem, Tomaszem Likczini, wzięli udział w tej wyprawie.

Po kilku chwilach światło się ukazało, lecz tylko dzieci je widziały. Za ich wskazówką kapłani najskrupulatniej, z latarnią w ręku, przepatrzyli każdą skibę ziemi, lecz nic nie znaleźli. Następnego dnia późnym wieczorem, w towarzystwie jeszcze jednego księdza Józefa Lindinier wyżej wymienieni przybyli, a ponieważ zauważono, że Pan Bóg, dla okazania cudów swoich, wybiera dzieci, sprowadzono jeszcze czworo innych ze wsi. Jakoż wkrótce, one spostrzegły mnóstwo światełek około topoli rosnącej w polu. Znów przedsiębrano poszukiwania, lecz nic nie znaleziono, coby mogło ujawnić przyczynę tego osobliwego zjawiska.

Księża odeszli. Dzieci za nimi podążały, lecz w chwili, kiedy miały zejść z pola na drogę, dał się słyszeć okrzyk tłumu pozostałego i wtedy dzieci, jakby siłą niewidzialną parte, zwróciły się, biegnąc na miejsce poprzednio zajmowane i tu pod działaniem tejże siły na wznak upadły. Zanim się podniosły, silne światło tuż przy topoli z ziemi wytrysnęło i olśniło oczy wszystkich. Na promieniach tej nadziemskiej jasności, wznosił się powoli gołąbek w górę i niedługo zniknął.

Zabrano się natychmiast do przetrząsania ziemi koło drzewa i wkrótce Tomasz Likczini spostrzegłszy na murawie przedmiot okrągły, śnieżnej białości, poznał Hostyę świętą i zaczął wołać, żeby sprowadzono księży.

Było to koło drugiej godziny rano. Lud, uniesiony radością na wiadomość, że w sposób tak osobliwy odnaleziono Najświętszy Sakrament, tłumnie ciśnie się koło księdza Jakóba Gnarino, który na miejsce cudowne pospieszył, i śledzi ze drżeniem każdy ruch czcigodnego kapłana. Ten, rozgarniając ziemię z nadzwyczajną ostrożnością, miał szczęście zebrać czterdzieści Komunikantów.

Umieścił je niezwłocznie w puszce, wystawił pod baldachimem na prędce wzniesionym u stóp topoli i głosem przerywanym łkaniem, wzniósł ku niebu hymn dziękczynny: *Te Deum.*

Hostye święte zostawały ukryte w ziemi prawie przez miesiąc czasu. Otóż, pomimo ostrej zimy, ulewnych deszczów, znaleziono je zupełnie dobrze przechowane, bieluchne, nienaruszone; tylko na brzeżkach był leciuchny ślad błota. Co więcej, z ziemi, która się dotykała Komunikantów, zupełnie suchej, zebranej w świeże płótno, zaczęła przeciekać czysta woda.

Wszakże pobożni mieszkańcy Laterno nie byli jeszcze zadowoleni. Wiedziano z różnych zeznań, że w dwóch puszkach w chwil kradzieży znajdowało się sto Komunikantów; cztedzieści się znalazło, gdzież była reszta?

W następny czwartek trzej chłopcy, których Pan Bóg do poprzednich poszukiwań użył, a mianowicie: Orefice, Likczini i Marotta, przybiegli do księdza Hieronima Gnarino z oznajmieniem, że światła znów się pokazały. Ksiądz poszedł za nimi. Długo szukano daremnie. Wtem Józef Orefice padł na kolana i wskazał, gdzie trzeba kopać, a jednocześnie, trzymając rękę na ziemi, czuł jakby się grunt rozsuwał. Ksiądz Hieronim Gnarino zaczął wtedy sam ostrożnie ziemię nożem odrzucać. Po jakimś czasie posłyszał jakby trzask, podobny do tego, jaki wydaje Hostya przy łamaniu. Zatrzymał się wzruszony, a przypatrzywszy się bacznie, zauważył zagłębienie, dużą skibką ziemi przysłonięte. Pod tą, jakoby przykrywą, przeszło pięćdziesiąt Komunikantów się znajdowało; były one białe, całe, podobnie jak te, które poprzednio znaleziono.

Wśród niewypowiedzianych objawów radości zebranych tłumów, odniesiono Najświętszy Sakrament do parafialnego kościoła w Laterno i lud cały mógł wielbić, wysławiać Boga w wielkich cudach Jego, gdyż wszystkie Hostye święte odnalezione zostały.

Powyższe szczegóły zamieszczone są w aktach procesu, nakazanego przez władzę duchowną i znajdują się w archiwum Arcybiskupa Neapolitańskiego. Opuszczamy zeznania składane w ciągu badań nad prawdziwością tego cudu, lecz nie możemy pominąć świadectwa samego pro-

boszcza z Laterno, Macieja d'Anna, gdyż w niem zawiera się stale dotąd istniejące podanie.

W przeciągu czasu, jaki upłynął między świętokradzką kradzieżą, a ukazaniem się jasności, przewodnik mułów nazwiskiem Franciszek Jodice, mający lat 27, wracając do Neapolu wieczorem, widywał osobę stojącą w polu, opartą o topolę. Ośmieliwszy się pewego razu, zapytał onej pani, coby tam tak samotna robiła.

— Jestem tu, aby pilnować mego syna — odrzekła.

Dopiero po odnalezieniu poświęconych Hostyi, wszyscy zrozumieli jasno, że ową panią, o której Franciszek opowiadał, musiała być przeczysta Matka Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Co do Komunikantów świętych, dla odszukania których, wszechmoc Boża tyle cudów zdziałała, Biskup sufragan w zastępstwie Arcybiskupa Neapolitańskiego, dopełniwszy koniecznego badania, umieścił je w dwóch kryształowych, obrączkami srebrnemi spojonych, półkulach, aby je można ku uczczeniu wystawiać. *H. Chr.*

SKOWRONEK.

LEGENDA.

Rzucając cichy domek w Nazarecie,
Chrystus Zbawiciel rzekł Matce swej Bożej:
„Idę siać ziarno prawd Boskich na świecie,
Lecz niech się serce Twe o mnie nie trwoży!

Módl się do mego Ojca Niebieskiego,
By Mnie swą radą krzepił i oświecał;
Bym godnie spełnił świętą wolę Jego
I światło wiary gorliwie roznіecał.

A ja zaś codzień, nim zorza na niebie
Pogasi gwiazdy i rozegna cienie,
Przyślę małego skowronka do Ciebie,
Który zanuci Tobie pozdrowienie".

I odszedł Chrystus; a Boska Dziewica,
Choć ufa w duszy — lecz w sercu się trwoży,

Łzami gorzkiemi skrapia blade lica
I z niepokojem czeka rannej zorzy.

I widzi we śnie, że Jej Syn kochany
Między pogany umęczony srodze;
Cierpi bez winy — cały krwią zbryzgany...
Chce biedz do Niego i — pada po drodze.

Lecz oto, kiedy znowu się podnosi,
Na niebie świta już poranna zorza
I pieśń się cudna w powietrzu unosi,
Śpiewa ptaszyna — posłanniczka Boża.

Budzi poranek przeczystą Dziewicę,
Już wszystkie gwiazdy w górze pobielały
Wznosi ku niebu niepewne źrenice,
I, widzi, buja nad Nią ptaszek mały.

Był to skowronek, On, z Chrystusa woli,
Przyniósł Dziewicy świętej pozdrowienie;
Przyleciał cieszyć Ją w stroskanej doli
I z lic Jej świętych zetrzeć łez strumienie.

Śpiewał: „Maryo, chwała Syna Twego
Co chwila szerzej i pełniej się mnoży;
Bo w całym świecie niema mu równego;
Bo On, zaiste, On to jest Syn Boży!“

Codzień skowronek wieść Maryi nosił;
Codzień jej śpiewał w poranne godziny,
I swoją piosnką światu sławę głosił
Tego, co cierpiał i umarł bez winy.

Za to Bóg zrządził, że odtąd co rana
Pierwszy skowronek buja wśród przestrzeni,
I jego piosnka pierwsza chwali Pana,
A on — „śpiewakiem Maryi“ się mieni.

Najgorszy dyabeł.

Każdy dyabeł to wróg człowieka. Ale jednak zdarza się często, że jeden gorszy od drugiego. Najgorszy podo-

bno ten, któremu na imię: wódka. Panuje on i dokazuje w niejednym domu, ba, nawet w niejednej wsi. Najgorszy on dlatego, że nigdy nie idzie sam, lecz włóczy się za nim cała hałastra dyabłów, a co jeden to brzydszy. Każdemu widnieje na czole jego nazwisko: jeden nazywa się: Lenistwo, drugi: Kłótnia, trzeci: Procesy, czwarty: Nędza, piąty: Choroba, szósty: Zbrodnia, siódmy: Więzienie.

Dziwna rzecz, że ten dyabeł, który się wódką zowie, nie wydaje się ludziom, zwłaszcza w początkach swojego panowania, niebezpiecznym. Mały ten dyabełek uśmiecha się z kieliszka wódki bardzo po przyjacielsku do swojej ofiary. Później, gdy ją już ma w swoich szponach, coraz częściej łechce jej język i podniebienie. Ma on swoją służbę u niesumiennych handlarzy, co wódkę wlewają nieszczęśliwemu w gardziel, i u pijaków, którzy biedaka ustawicznie do picia zachęcają.

Swoje końskie kopyto umie taki dyabełek ukryć znakomicie. Jeden kieliszek — mówi — cóż to może zaszkodzić. Naturalnie, zawsze się pije tylko po jednym. Ale ile się zbierze razem! Dosyć, że ten dyabeł wypróżnia nieznacznie kieszeń człowiekowi, odbiera mu chęć do pracy, burzy szczęście rodzinne, grzebie spokój domowy i miłość małżeńską, rozdwaja rodziców z dziećmi, zabija duszę i ciało.

Są tacy nierozsądni. którzy tego dyabła mają ustawicznie w domu; we flaszeczce wstawiają go do szafy. Codzień rano dyabełek w szafce odzywa się, hałasuje, prosi, aby go posmakować, namawia, że będzie pokrzepieniem serca od samego rana. Ale tak samo dowodzi przed południem i w południe i po południu i wieczorem, ba nawet o północy krzyczy, żeby go wziąść do poduszki.

Odzywa się wtedy jeszcze głos sumienia: Wyrzuć dyabła z szafy, wypędź go z domu, nie idź za nim do karczmy! Ale dyabełek zna swoich. Umie on używać takich pięknych słówek, aż biedaka usidli zupełnie. Wtedy dopiero swoim kopytem końskiem tupie po całym domu, po podwórzu, po wsi nawet śmiało i zuchwale. Gdzie stąpnie, tam wyrasta nieszczęście. Pieniądz i majątek, honor i szczęście, wszystko najprawdziwiej idzie do dyabła.

A więc strzeżcie się tego najgorszego dyabła, co się z wódką pokumał! Od razu, gdy się pokaże na progu domu, wygnać go kijem i wypędzić za dziesiątą granicę! Bo on nigdy sam nie przychodzi — lecz ciągnie za sobą cały ogon dyabłów, z których gorszy jeden od drugiego.

Zdania lekarzy o piwie.

Piwo wydaje się na pozór napojem nieszkodliwym, a przynajmniej mniej szkodliwym dla zdrowia ludzkiego od wódki, wina i t. d. Niektórzy sądzą nawet, że piwo przynosi pożytek.

Wszystkie te zdania są błędne. Piwo bowiem, jak stwierdzili lekarze — jest szkodliwe dla zdrowia podobnie jak wódka, wino i t. d. z tą tylko różnicą, że skutki wódki, lub wina, prędzej się pokazują, a skutki picia piwa później.

Piwo posiada wiele kwasu węglowego, a stosunkowo mało alkoholu, ażeby więc wywołać podniecenie, piją ludzie większą ilość piwa. Wskutek tego następuje u pijących piwo zwiększenie, stłuszczenie i rozdęcie się serca, które nazywa się „sercem piwnem“.

Takie serce musi przepędzać przez siebie ogromną ilość wody znajdującej się w piwie, więc się rozszerza, a przez to mięśnie jego powoli słabną, tracą swą sprężystość i następuje osłabienie serca, które u piwoszów jest zbyt częste.

Słabe piwo jest wprawdzie mniej szkodliwe od mocnego piwa, ale i ono sprowadza powoli chorobę serca i nerek, gdy się je często pije i w większej ilości. W szpitalach niemieckich co szesnasty chory umiera na chorobę serca lub nerek powstałą z picia piwa.

A więc piwo także uważać należy za napój dla zdrowia naszego szkodliwy! Kto tedy pije piwo, zwłaszcza silne i w większej ilości, ten sobie śmierć przyspiesza tak samo, jak ten, który pije wódkę, lub inne napoje alkoholiczne!

Wpływ pogody na usposobienie ludzkie.

Pod takim tytułem ukazała się w Anglii ciekawa książka, w której profesor Edwin Grant Dekster wykazuje na podstawie długoletniej pracy, iż zmiany powietrza wywierają wielki wpływ na usposobienie, na myśli i czyny ludzkie. Wpływ ten jest dobry, albo zły.

Uczony ten dowodzi na przykład, że wiatr zachodni jest najzgubniejszy, a w ślad za nim idzie zwiększona liczba przestępstw. Im silniej i szybciej dmie wiatr zachodni, tem więcej wtedy zbrodni i mordów popełniają ludzie. Susza, zwłaszcza susza długotrwała, wpływa na zwiększenie liczby samobójstw.

Profesor Dekster zbadał 12.759 dzieci szkolnych i na podstawie tych badań twierdzi, że zmiany powietrza mają większy wpływ na dziewczęta, niż na chłopców. Wogóle zaś wszystkie dzieci czują się najzdrowiej i pilniejsze są do nauki w miesiącach zimowych, ale równocześnie jasnych i pogodnych. W dniach pochmurnych i wilgotnych lub burzliwych, dzieci tracą ochotę do nauki.

W miesiącu styczniu, jako w miesiącu najzimniejszym, stwierdził profesor Dekster najmniej przestępstw u mężczyzn, po upływie jednak stycznia zaczynają się one wzmagać aż do połowy czerwca, a u kobiet do połowy sierpnia.

Przy końcu swej książki radzi wspomniany profesor, aby w czasie deszczów, długotrwałych zawiei i t. d. podejmowano roboty tylko łatwiejsze, nie wymagające natężenia umysłu, nauczycielom zaś i wychowawcom zaleca pobłażliwość dla uczniów.

Ile jest kobiet na świecie?

Całą ludność świata obliczają przypuszczalnie na półtora miliarda ludzi. Z tych zaledwie połowa jest obliczoną dokładnie, druga połowa jest przypuszczalna.

Europa liczy 334 miliony mieszkańców, między którymi liczba kobiet przeważa trzy i pół miliona. Azya liczy 815 milionów ludzi, tam jednakże mężczyzn jest o 16 milionów więcej niż kobiet. Afryka ma 27 milionów ludności, a liczy milion więcej mężczyzn niż kobiet; również i Ameryka

ma na 102 miliony mieszkańców, przeszło milion więcej mężczyzn niż kobiet. Australia na 4 miliony głów, ma mężczyn więcej pół miliona.

Ogólnie więc liczba mężczyzn przewyższa liczbę kobiet; w Europie atoli jest przeciwnie. I tu są miejscowości, gdzie mężczyzn jest więcej, niż kobiet, mianowicie na południo-wschodzie, z wyjątkiem jednak księstewka Liechtenstein, jak również Włoch, Grecyi, Rumunii, Bułgaryi, Serbii, Bośnii i Hercegowiny i ziem dońskich kozaków.

Kraje europejskie, gdzie jest znaczna przewaga kobiet, tak, że na 1000 mężczyzn przypada 1060 kobiet, są to: Portugalia, Szwecya i Norwegia, Królestwo Polskie i Wielka Brytania. W Rosyi, Francyi, Belgii, na Węgrzech i w Niemczech przypada na tysiąc mężczyzn 1030 kobiet.

Nie tylko Europa może się szczycić takiem szczęściem do kobiet. Na przykład środkowo-amerykański kraj Nicaragua, której mieszkańcy składają się w połowie z mieszańców i w trzeciej części z Indyan, również cieszy się znaczną przewagą kobiet. Dalej w południowo-afrykańskich krajach między ludnością Murzynów jest również znaczna przewaga kobiet. Przeciwnie jednak dzieje się w Hawai i Hongkongu. W Hawai na 1000 mężczyzn przypada 533 kobiet, w Hongkongu 409.

Przytem stwierdzono, iż kobiety są o wiele szczęśliwsze stworzenia od mężczyzn; w krajach, gdzie mieszkańcy żyją samotni i rozprószeni jak: strzelcy i pasterze, stanowią one małą bardzo liczbę; natomiast w krajach, gdzie łatwiej o zarobek i dobrobyt, liczba ich jest znacznie większa. Klimat również tu gra pewną rolę, gdyż w umiarkowanym klimacie przeważa wszędzie liczba kobiet, w gorącym lub zimnym liczba mężczyzn. W suchych krajach jest więcej mężczyzn; w krajach z częstymi deszczami, a więc zarazem urodzajniejszych — więcej kobiet.

W lesie podczas burzy.

Dotąd powiadano, że podczas nawałnicy z piorunami bardzo jest rzeczą niebezpieczną do lasu się schronić. Tymczasem uczeni przeczą temu.

Zdarzyło się, że pewien robotnik leśny, biegnąc do odległego o 400 metrów od lasu domu, został przez piorun zabity, a rodzina upominając się o rentę, twierdziła, że gdyby nie bliskość lasu, piorun niezawodnie nie byłby w niego uderzył.

Berliński urząd zabezpieczenia nie wiedząc, czy to twierdzenie słuszne, czy nie, zapytał się profesora Assmanna, który takiemi sprawami się zajmuje, co tem myśli?

Profesor tak odpowiedział: Doświadczenie stwierdza, że w las, w którym równe mniej więcej drzewa rosną, piorun rzadko uderza. Tylko przy „nowinach", to jest w pobliżu miejsc, gdzie drzew w lesie niema, albo też, gdzie jedno lub kilka drzew wiele wyższych jest nad inne, istnieje niebezpieczeństwo. Las równy niebezpieczeństwo to zmniejsza. Zresztą gdyby piorun w drzewo uderzył, z pewnością spadłby po drzewie do ziemi. A zatem człowiekowi, który między drzewami równo wysokiemi w lesie, podczas burzy stanął, nie zagraża wielkie niebezpieczeństwo.

Natomiast niebezpieczeństwo jest bardzo groźne wtedy, eśli kto się schroni pod drzewo, stojące w odosobieniu, na polu, lub na skraju lasu. Wtedy to drzewo jest najwyższym punktem w owem miejscu, a pioruny w takich przypadkach prawie zawsze uderzają.

Ów robotnik leśny uciekał przez pole, na którem nie było ani drzewa, ani domu, uciekający sam był przeto najwyższym punktem i dlatego został piornem rażony. Bliskość lasu nie przyczyniła się do tego. Przypuścić należy, że gdyby w lesie był pozostał i nie na skraju, lecz trochę w głębi lasu, i gdyby nie pod drzewami, lecz między drzewami stanął, śmierci byłby uniknął.

Czytelnicy nasi niech sobie o tem spamiętają, bo w lecie bywają częste burze z piorunami. Główna rzecz w tem, ażeby każdy unikał takiego miejsca, gdzieby sam był najwyższym punktem dokoła.

Z GOSPODARSTWA.

Pokrzywa uważaną jest w Szwecyi jako cenny pokarm dla krów dojnych. Zwykle mieszają pokrzywy z inną pa-

szą; dodatek ten zwiększa mleczność krów, przyczem zawiera mleko więcej tłuszczu i więcej masła z niego otrzymać można. Jeżeli pokrzywa jest młoda, to jest przed kwitnieniem, to najczęściej zalewa się ją przed użyciem gorącą wodą i zostawia tak przez jakiś czas, poczem miesza z inną paszą. Zwierzęta w ten sposób karmione, nie tylko wybornie wyglądają, ale i rzadko chorują. Uprawiają też w Szwecyi pokrzywę umyślnie na paszę, zbierając nasiona w sierpniu, a we wrześniu siejąc w grunt dobrze uprawny i mierzwiony. Niektórzy nie sieją, tylko przesadzają pokrzywy w ziemię odpowiednio sprawioną.

Jako dopełnienie powyższej wiadomości, dodajemy jeszcze, że pokrzywa ma i lecznicze własności dla ludzi, a mianowicie służy ona jako lekarstwo przeciw cholerze. W tym celu bierze się łyżeczkę kwiatu dużej pokrzywy, nalewa wrzącą wodą, po naciągnięciu cedzi i daje choremu wypić na ciepło. Od tego nastąpi ożywienie krążenia krwi, poty i lekki sen, a chory po jednej lub dwóch szklankach herbaty takiej przychodzi do zdrowia. Przed naparzeniem można dodać do kwiatu pokrzywy szczyptę rumianku lub mięty, oraz pół łyżki utartego maku.

Karmienie źrebiąt. Źrebięta potrzebują w piewszym roku bardzo dużo owsa i to począwszy od odłączenia, które nastąpić powinno z końcem czwartego miesiąca, nigdy wcześniej, gdyż źrebięta karmione krócej mlekiem matki, nie rosną dobrze. Zadawanie owsa rozpocząć już wcześniej, by się źrebię do pobierania tego pokarmu przyuczyło. W tym celu trzeba w klatce, gdzie źrebię ma przebywać z matką, ustawić żłóbek i drabinkę, do żłóbka dać garć gniecionego owsa, a za drabinkę dobrego siana. W miarę zwiększenia się apetytu na te pokarmy, porcye zwiększać.

Przy takiem postępowaniu będzie się źrebię rozwijać doskonale, a odłączenie nie sprawi mu przykrości i nie sprowadzi złych następstw. Od 6-go miesiąca życia można zadawać źrebiętom owies cały, niegnieciony, w ilości 3 kg. dziennie, a rozłożyć to na 3 dania. W drugim roku można już z owsem nieco poskąpić, a forsować sianem i pastwiskiem. Gdyby klacz nie miała dość mleka dla źrebięcia, w takim razie nie wypadnie zrobić nic innego, jak przyuczyć je do picia mleka krowiego, lecz trzeba je zawsze

zmieszać z wodą, biorąc jednę część wody na 5 części mleka.

Sposób na wytępienie wszy u bydła. Nie mało to boli zapobiegliwego gospodarza, kiedy zobaczy na swoim bydełku wszy, które jakoby trądem obsypują szyję, grzbiet i uda bydlęcia. Łatwym jednak sposobem można usunąć to plugawstwo. A mianowicie jest to następujący środek: Weź wodę, w której gotowały się ziemniaki, ostudź ją, a następnie weź w rękę szmatę wełnianą i zamocz w niej. Szmatą następnie wycieraj miejsca, w które wszy przysiadły. Po pierwszem umyciu wszy giną natychmiast. Dobrze jednakowoż zmyć bydlę i po raz drugi. Po umyciu wodą ziemniaczaną obmywa się miejsca, zarażone plugawstwem, wodą ciepłą, w której rozpuszczono zielone mydło, a to zaradzi wypadnięciu włosów.

Starych krów nie opłaca się trzymać z wielu względów, a mianowicie:

1. Im starsza krowa, tem skłonniejsza do suchot, która to choroba pomiędzy bydłem robi wielkie spustoszenia. Jakkolwiek cielęta od takich krów na razie są zdrowe, później jednak podpadają tej chorobie.

2. Im krowa starsza, tem mniej opłaca zadawaną jej paszę. Koszta utrzymania takiej krowy z natury rzeczy są wyższe. Wiadomo, że starsze o wiele trudniej się tuczą, jak młode i aby starą krowę utuczyć, znacznie więcej potrzeba paszy.

3. Za stare tuczne krowy rzeźnicy niższe ceny płacą, jak za młodsze, a także jakość mięsa starszych krów jest gorsza. Różnica ta bywa bardzo znaczna.

4. Im krowa starsza, tem mniej mleka daje, a także mleko starej krowy nie posiada takiej zawartości tłuszczu, jak młodej.

Z powyższego wynika, że krów ponad pewien wiek w gospodarstwie trzymać się nie opłaca. Za to właściwiej postępuje gospodarz, przeznaczając stare krowy na rzeź. W ogólności zaleca się nie trzymać krów starszych, jak 8 do 9 lat. Wyjątkowo tylko krowy, dające dobre cielęta i bardzo dobre dójki, trzymać dłużej należy.

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Ogórki kiszone w 24 godzinach. Przygotowuje je się w sposób następujący; po opłókaniu oberżnąć końce ogórków z dwu stron, włożyć w słój kamienny lub szklanny, przesypać solą, przełożyć koprem świeżym i zalać letnią wodą, do której wlać trzeba trochę białego żytniego barszczu lub w braku takowego włożyć kawałek razowego chleba; postawione następnie w ciepłem miejscu literalnie w 24 godzinach ogórki są już ukiszone i gotowe do użycia. Naturalnie, że na kilka godzin przed użyciem trzeba je wynieść do chłodnej piwnicy, aby były chłodne.

Na oparzeliznę dobrym środkiem jest mąka żytnia, której nie brak w żadnym domu. Ranę z oparzenia powstałą należy natychmiast pokryć mąką żytnią i owinąć ją wełnianym lub lnianym płatkiem. Ból natychmiast zostaje ukojony; gdyby po chwili ból nie ustawał, należy ranę odwiązać i obsypać nową mąką żytnią, dawniejszej mąki nie zrzucając. Nawet silny ból, zasypując od czasu do czasu ranę mąką żytnią, można w ten sposób ukoić.

Również dobrym środkiem na rany z oparzenia lub spalenia powstałe, jest słodkie świeże mleko. Czystym płatkiem, który się w mleku zanurzy, okładać należy ranę, powtarzając to okładanie tak długo, dopóki czerwoność oparzelizny i ból nie ustaną, co trwa zwykle 2 do 3 godziny. — Naturalnie należy wszystko robić bardzo czysto, a z większemi ranami należy się udać do lekarza.

Liście z buraków przykłada się do głowy podczas bólu, albo posmarowane masłem przykładają się do miejsc, gdzie wizykator był stawiany. Płukanka z buraka służy przy zapaleniu gardła.

Na ból śledziony pić wino białe, w którem moczono przez trzy dni chrzan, albo pić odwar kory jasionowej.

ROZMAITOŚCI.

Co jada żołnierz angielski? Armia angielska składa się z samych ochotników, niema tam bowiem przymusowej służby wojskowej, jak u nas i w innych krajach Europy. Tacy żołnierze-

ochotnicy otrzymują dość dobrą płacę i jeszcze lepszą żywność. Żołnierz angielski dostaje rano na śniadanie kawę ze śmietanką i bułką, przed obiadem kieliszek koniaku, o godzinie 12-ej obiad z dwóch lub trzech potraw, o 5-ej po południu herbatę z bułką, a o 8-ej wieczór kolacyę.

Rady dla żon. Pewien pastor luterski, słynący z dobrych rad, udzielanych przy ślubie nowożeńcom, pewnego dnia przemówił do oblubienicy w te słowa: „Skoro za niego wychodzisz, kochaj go; gdy wyjdziesz, bądź mu uległą. Jeżeli będzie dobrym, szanuj go. Jeżeli hojnym — nie nadużywaj hojności. Jeżeli smutnym — pocieszaj go. Jeżeli kłótliwym — milcz. Jeżeli skłonnym do zwierzeń — słuchaj go. Jeżeli skrytym — ufaj mu. Jeżeli zazdrosnym — wylecz go. Jeżeli lubiącym dom — siedź i ty w domu. Jeżeli towarzyskim — chodź z nim w odwiedziny. Jeżeli na to zasłuży, całuj go. Niech wie, że go rozumiesz i dzielisz z nim wszystko. Ale nigdy nie daj mu poznać — że nim rządzisz i że on tańczy, tak jak ty mu zagrasz“.

W czasie snu najlepiej jest leżeć na prawym boku, bo przy takiem położeniu powstają najdogodniejsze warunki dla krążenia krwi w płucach i dla działalności serca. Dla chorych na płuca i serce, szkodliwem jest leżenie w czasie snu na lewym boku i na wznak, bo to utrudnia krążenie krwi w płucach, i powiększa duszność, wywołuje powiększenie serca na lewo, utrudniając jego ruchy.

Kara na ojcobójców. W Chinach zgładzono ze świata kilkonastoletniego chłopca, który nie z własnej woli był przyczyną śmierci swej matki. Prawo chińskie bowiem wymaga, ażeby ojcobójca bez względu na wiek i okoliczności łagodzące, był zgładzony i to w szczególny sposób. Przedewszystkiem przestępca musi być krajany nożem na pasy, a potem popiero ucinają mu głowę. I w tym wypadku postąpiono tak samo i zabito okrutnie małe chłopię. Nawet sam cesarz nie mógł go ułaskawić, gdyż w ten sposób naraziłby się na strącenie z tronu. Tak bowiem szanują tam rodziców, że każde przeciw nim wykroczenie jest karane w okrutny i bezwzględny sposób.
